

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 18.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, ¹⁶/₂₈ stycznia 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Tomasz Baraniecki (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Młyn parowy na Lesznie w Warszawie (z dwoma drzeworytami). — Zamek tęczyński (z drzeworytem). — Kronika sztuk pięknych. — Kwestya podrzędna, przy kominkowym ogniu rozbiegana (ciąg dalszy). — Korrespondencya od redakcyi. — Zamek w Koszkwie (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

Tomasz Baraniecki.

Mieszkańcy Podola w roku zeszłym boleśnie zostali dotknięci zawczesnym skonem Tomasza Baranieckiego, znakomitego doktora medycyny. Ogromna próżnia jaką prawi ten człowiek po sobie zostawił, nieprędko zapewne wypełnioną zostanie, a żywot jego cnotliwy, przestając już należeć do samej rodziny, stał się własnością kraju, który on nad życie miłował. Niechże więc te słów kilka, poświęconych przyjazną ręką ceniom zmarłego męża, jako garść piasku rzucona na trumnę, wzbudzą echo nie tylko w sercach tych, co na piękne czyny jego życia zblizka patrzyli, lecz zarazem niech zatętnią w duszach ogółu, miłującego wszystko co piękne, co wzniosłe, co wiecznej pamięci narodu godne.

Tomasz Baraniecki urodził się dnia 29 grudnia 1801 r. w Galicyi, w okolicach miasteczka Buczacza. Rodzice jego, ludzie zacni lecz ubodzy, mieli pięcioro dzieci: trzy córki i dwóch synów, z których Tomasz był najmłodszym. Przewidując iż oprócz dobrego imienia, nie dzieciom zapewnić nie będą w możności, postanowili ostatni grosz łożyć na ich wychowanie. I pobłogosławił Bóg ich staraniu, bo Łukasz, brat starszy Tomasza, poświęciwszy się zawodowi kapłańskiemu, a spełniając sumiennie obowiązki swego powołania, doszedł z czasem do stopnia kanonika kapituły lwowskiej; w roku zaś 1848 od razu wyniesionym został na godność arcybiskupa.

Na tém tak wysokim w duchownej hierarchii stanowisku, świętobliwy ten pasterz, gorliwy o dobro powierzonych sobie owczarni, cnotliwych czynów przykładem zachęcał innych do sumiennego pełnienia obowiązków swoich w Chrystusie. Atoli śmierć nagła przypadła nań dnia 19 czerwca 1858 roku, w chwili właśnie spełniania obowiązków kapłańskich, i położyła kres żarliwym jego o dobro kościoła staraniom. Lecz nie tu miejsce oceniać zasługi arcybiskupa lwowskiego. Ze stanowiska jakie zajmował, należy on do historyi; ona też zapisze i osądzi czyny jego. My raczej zwrócimy się do głównego celu naszego pisma, do przyjrzenia się użytecznemu dla bliźnich życiu nieodżałowanego Tomasza Baranieckiego.

W roku 1810 wysłał go ojciec do szkół w Bucza-

czu, gdzie wrodzonymi zdolnościami, pracą i wzorowym prowadzeniem już wtedy zwrócił na siebie uwagę profesorów. Po kilku latach nauki, opatrzony w najchlubniejsze świadectwa, udał się w r. 1817, dla dalszego kształcenia na uniwersytet do Lwowa. Wpółśród pracowitych studyów, przywiązanych do dwuletniego kursu filozofii, nie zaniedbywał Tomasz zajmować się także innymi naukami; literatura i poezya, były najmilszymi towarzyszkami młodzieńczych prac jego, a wierszami drukowanymi w rozmaitych ówczesnych pismach peryodycznych, złożył i on da-

przyjął ich z otwartymi rękami. Baraniecki, znacznie już w naukach wykształcony, niewiele mógł korzystać z wykładu w szkole tój przyjętego; postanowił więc udać się do Wilna. Koledzy wraz z nim przybyli, niechcąc go odstąpić, postanowili dzielić dalsze Tomasza koleje. Złożoną na prędce składką, szczupłą lecz serdeczną, uczniowie liceum przychodzą w pomoc zamiarom wędrowców. Kupiwszy mały wózek i konia, dostają się nareszcie do celu swej podróży.

W Wilnie, w stolicy ówczesnej nauki i oświaty, Baraniecki, nieznanym nikomu, bez opieki, nawet bez listów polecających, przedstawiwszy się władzy uniwersyteckiej i złożony wstępny egzamen, zostaje do grona uczniów przyjęty. Zdobywszy sobie miłość kolegów, szacunek i względy przełożonych, obdarzony niepospolitą przysiotami umysłu, przy sumiennym i wytrwałym pracy, pokonywa wszelkie zawady, staje się uczniem celującym i otrzymuje nagrodę pieniężną, przywiązaną do znakomitych zasług w uniwersytecie; a choć dotychczas całym jego utrzymaniem było dawanie lekcji prywatnych, zrzeka się dobrowolnie tak zaszczytnej nagrody, przeznaczając ją uboższym jeszcze od siebie kolegom.

Nie od razu Tomasz oddał się medycynie; z początku literatura była dlań ponętniejszą, i jój też w znacznej części pierwotne swe studia poświęcał. Ówczesne pisma peryodyczne, w Wilnie wychodzące, zawierają wiele drobnych jego poezyj.

Lecz Opatrzność, wybrawszy go za narzędzie do swych dobroczynnych widoków, zesłała mu w osobie Chodaniego, jednego z najznakomitszych natenczas profesorów, przewodnika, który dostrzegłszy w nim nadzwyczajną bystrość umysłu, szlachetność duszy i gotowość do wszelkich dla bliźnich poświęceń, namową i radą skłonił go do przejścia na medycynę, wskazując mu tym sposobem odpowiednią i właściwą jego przymiotom drogę, po której tak świetnie przez resztę swego życia miał kroczyć.

Baraniecki, wzięwszy się, niezbyt chętnie z razu, do tój trudnej, mozolnej, lecz pięknej nauki, w miarę jak jój się oddawał, jak ją dokładniej zaczął pojmować, coraz goręcej ją pokochał. Więc też z gorliwością i zapałem, cechującym głównie charakter tego człowieka, postanowił jój się odtąd stale poświęcić. W roku 1825, ukończywszy nauki i zdawszy chlubnie egzamen, otrzymał patent doktora medycyny; lecz pomimo wziętości jaką już z pism swoich tyczących się tój nauki posiadał, pomimo że ofiarowano mu korzystną posadę, ażeby tylko został na miejscu, wyższa jakaś, nieprzeparta woła-



TOMASZ BARANIECKI.

(Rysował Gerson, rytował H. Röber w drzeworytni „Tygodnika“.)

ning z kwiatu swych uczuć na ołtarzu muzy rodzinnej.

Zmuszony w r. 1820 opuścić Lwów, w towarzystwie trzech kolegów: dwóch Domherów i Orzechowicza, uchodzi z Galicyi. Gdzie obrócić swe kroki, co z sobą zrobić? były to pytania, nad którymi jednej chwili namyślać się nie mogli. Lecz ufni w przyszłość, z wiarą w siebie, chociaż bez grosza w kieszeni, piechotą, w pierwszych dniach 1821 r. dostali się szczęśliwie do Krzemieńca.

Tu młodzież uczęszczająca do liceum wołyńskiego

naprzód go popychała i do opuszczenia Wilna zmuszała.

Była to epoka najszcześniejsza w życiu Baranieckiego. Ież to razy mówił o niej, ile razy przywodził sobie na pamięć owe chwile ubóstwa, pracy, koleżeństwa i nadziei przemarzonych na ławkach uniwersyteckich! I zawsze wtedy iza rozrzewnienia błyszczała w oku jego. Jak kwiaty na wiosnę są ozdobą niw polnych, tak wspomnienia młodości najdroższym są skarbem w życiu każdego człowieka; a im zacniej ta młodość w pracy i poświęceniu ubiegła, tém piękniejszą, tém chlubniejszą aureolą świeci i opromienia dnie dalszej ziemskiej wędrówki. Tomasz Baraniecki, sam sobie wszystko winien będąc, wchodził na widownię świata z tą w głębi duszy zakorzenioną myślą, że każdy człowiek ma jakieś posłannictwo na ziemi, — że święte jego spełnienie, obowiązkiem jest każdego prawego chrześcianina i obywatela. Zasadam tym wiernym będąc do końca życia, oczywiście nie strwonił marnie darów natury.

Opuściwszy Wilno, przybył Baraniecki zaraz na Podole i we wsi Eliaszówce, należącej do Seweryna Bukara, zasłużonego krajowi żołnierza-obywatela, osiadł jako lekarz domowy. Poznaawszy i ukochawszy młodą synowicę wojaka, Konstancją Bukarównę, pojął ją następnie za żonę.

W roku 1826 Tomasz Baraniecki przeniósł się do Jarmoliniec, miasteczka będącego własnością Orłowskich. Ówczesny patriarcha lekarzy, Dr. Hackenschmidt, używający na Podolu ogromnego i zasłużonego rozgłosu, dostrzegł zaraz w Tomaszu owę bystrość umysłu, szeroką i gruntowną naukę, jaka cechuje tylko ludzi do zajęcia wysokiego stanowiska w swój sztuce przeznaczonych. Więc też w wielu okolicznościach wyręczał się chętnie młodym kolegą, przepowiadając mu przyszłość jak najświetniejszą. Takim to sposobem rozpoczął Baraniecki ów żywot pełen chwały dla siebie, pożytku dla innych, przykładny z cnót obywatelskich dla wszystkich, a trwający niezmiennie przez lat trzydzieści i trzy.

Pióro biografu mimowolnie wstrzymuje się od kreślenia cichych lubo pięknych czynów tego człowieka. Komu jednakże wiadomo jak ważne, chociaż niezbyt świetne, w pośród naszego społeczeństwa jest stanowisko lekarza, ten snadnie pojmie, jak dobroczynny wpływ wywierać musi naokoło siebie człowiek gruntownej nauki, wielkiej inteligencji i najpiękniejszych przymiotów duszy. Lecząc ciało, niejednokrotnie duszy moc i zdrowie wraca. Powiernik najpoufniejszych rodzinnych zwierzeń, Baraniecki umiał święcie szanować cudze tajemnice, nie szczędząc rady, zachęty i czynnej nawet pomocy, gdy tego było potrzeba. Jak pojmował stanowisko i obowiązki lekarza względem nauki i społeczeństwa, najlepiej zaświadczy własnoręczny list jego, pisany w r. 1848, w chwili właśnie, gdy najstarszy syn jego Adryan, będący naówczas w uniwersytecie, doniósł mu, iż za przykładem ojca stanowczo chce się oddać medycynie:

„Im więcej posuniesz się na tój drodze, tém więcej w naukach tych przyjemności znajdziesz. Zawód w jaki wchodzisz, ma wiele powabów, wiele także przykrości. Ale jakież to stan, jakież powołanie wolne jest od nich? Gdybyś we wszystko opływał, życie najroskoszniejsze i niezależne od pracy prowadził, jeszcze się znajdzie niemało przeciwności, co zachmurzą ci czoło, zakrwawią serce. Starać się tylko należy o umysł prawy, sumienie czyste, nieskażony charakter, za młodu przyswajając sobie cnotę, a będziesz szczęśliwym. Szczęście jest zawsze względne; stan duszy i serca jest onego podstawą, a może i samém szczęściem. Jest to szkiełko, przez które na świat patrzymy. Dlatego jeden widzi nieszczęście i smutek, kiedy drugi, w témże samém położeniu zostający, lecz pogodnym stanem duszy silniejszy, naturalny bieg rzeczy spostrzega. Dodaj do tych uwag i tę najważniejszą, że stan lekarza dobrego i sumiennego, posiada powab, jakiego w żadnym innym nie znajdziesz: *niezależność i swobodę w działaniu*; rozum sam jego przewodnikiem, a sumienie stróżem. Nie będzie tobą kierować dłoń niesprawiedliwego zwierzchnika, nie jesteś związany ślepem posłuszeństwem, zmuszającym nieraz do działania przeciwko sumieniu i przekonaniu. Zostawiony sądowi własnego sumienia, powodowany miłością bliźniego, sam sobie prawo działania stworzysz; będziesz dobrze drugim czynił, chociaż ci może nikt nie podziękuje, a tylko w świadectwie własnego sumienia za pracę swoją nagrodę

znajdziesz. Trzeba tylko pracować, ażeby dobrym i umiejętnym stać się lekarzem. Mierny lekarz jest plagą ludzkości; nauka jego staje się wtedy rzemiosłem, i tylko nagłej pomocy potrzebujący z konieczności mu się poddają. Ogromem nauki nie zrażaj się; im dalej się posuniesz, tém łatwiej ci pójdzie. Cała tajemnica zależy na tem, aby w ciągu nauki żadnych przerw nie było, bo inaczej do końca nie trafisz.“

W innym liście, mówiąc o pewnym profesorze, który na prelekcjach popisywał się ze swoją niewiarą w sztukę lekarską, pisał:

„W praktyce dopiero poznasz, iż nie traf, nie samo przypadkowe udzielenie pomocy dźwiga ludzi ze śmiertelnego łoża. Prawda, że siły natury leczą choroby; ale kierowanie niemi do szczęśliwego końca, uregulowanie ich, usuwanie szkodliwych wpływów, przesilenie opóźnić lub zniweczyć mogących, to lekarza dzieło. Gadanina sceptyków niech cię nie zraża. Cobys pomyślał o teologu, któryby wątpił sam o dogmatach religii i z tém się popisywał? Ja praktykuję już rok 23ci (list pisany w r. 1848); gdyby medycyna była szalbierstwem, wolałbym żyć w nędzy, jak tyle lat ludzi oszukiwać. A jednak pochlebiam sobie, że niejedną łzę otarłem, niejedno wdzięczne serce pozyskałem i t. d.“

W sprawach dotyczących ogółu, Baraniecki nikomu się wyprzedzić nie dał. Nieraz na zgromadzeniach obywatelskich, wymowny głos jego stanowczo wpływał na opinię większości; bo szlachetny jego sposób myślenia jednał mu wszystkich, bo kochano i uwielbiano go powszechnie.

Najboleśniejszą chwilą w życiu Tomasza była zbyt wczesna śmierć ukochanej córki jego, Oktawii Starorypińskiej. Silna organizacja fizyczna, jaką go natura obdarzyła, uległa pod tym dotkliwym ciosem, i od tój chwili zdrowie opuszczać go zaczęło. Dostawszy fałszywej róży w twarzy, dnia 20 maja 1858 roku, na łonie rodziny i przyjaciół, oddał Bogu ducha.

Imię Baranieckiego, jako lekarza, głośnem było na Podolu, Wołyniu, i Ukrainie. Więc też ogromna i utrudzająca praktyka, rozciągająca się na mil kilkadziesiąt w około, wszystkie dni jego życia zajmowała. Rękopisów tyczących się nauki medycznej, (oprócz listów pisywanych z wycieczek swoich za granicę, będących w ręku rodziny i niektórych osób ściślejszemi węzły przyjaźni z nim połączonych, nacechowanych wdzięcznym stylem, żywością wyobraźni, miłością nauki i niezmordowaną chęcią kształcenia się ciąglego), nie zostawił zgoła żadnych. Ogromna tylko ilość notat i wyciągów z rozmaitych pism peryodycznych, własną jego ręką poczynionych, dowodem jest troskliwości Baranieckiego w śledzeniu krok za krokiem postępów nauki. Jakoż nietylko lekarze krajowi, ale i zagraniczni, z którymi w czasie swoich podróży starał się zapoznać, wysokie zdolności tego człowieka cenić umieli, gdy niejednokrotnie, w wypadkach ważniejszych, do wspólnej narady pomiędzy siebie go przyzywali. Dostę tu wspomnieć znakomite imiona doktorów: Louis, Nelatona, Waltera, Hedoniusa, Fabrycyusza, Trousseau; z naszych zaś ziomek: Seweryna Gałęzowskiego, Karola Kaczkowskiego, Hirszfelda, Raciborskiego i wielu innych. Notatki te i uwagi dotyczące medycyny, kreślone ręką tak światłego i znakomitego lekarza jakim był Tomasz Baraniecki, zajmującą i pożyteczną muszą być zaprawdę rzeczą dla wszystkich, co uprawę jej w naszym kraju mają na celu. Zwracamy więc na nie uwagę tych, których to zbliżka obchodzić powinno.

O dziełach jego w przedmiocie medycyny, wydanych, (jak świadczą daty, za czasów jeszcze pobytu w uniwersytecie,) dr. Ludwik Gąsiorowski w swym zbiorze wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce, tom IV str. 55, tak wspomina:

„Baraniecki Tomasz, Dr. med., tłumaczył na język polski dzieła chirurgiczne następujące:

1) „O amputacjach w ogólności“, dzieło doktora H. J. Brüninghausena, z tablicami. Wilno w drukarni A. Marcinowskiego, w r. 1824 in 8vo str. 94.

2) Karola Bella: „Traktat chirurgiczny“ o chorobach pęcherza, kanału urynowego, prostaty i kiszki odchodowej, pomnożony krytycznymi notatami przez J. Shawę, z tablicą. W Wilnie, w drukarni Marcinowskiego, r. 1825 in 8vo str. 387, spisu rzeczy str. 7.

Oprócz tego wymienić należy rozprawę napisaną piękną łaciną, pod tytułem:

„De morbis sacci lacrymalis, Vilnae 1825 in 8vo, dedykowaną Sewerynowi Bukarowi.

Oto wszystko co po nim zostało w druku. Jak dałece prace powyższe w swoim czasie i dotychczas nawet są cenionemi, znajdzie czytelnik dowód w artykule Józefa Orkisz, drukowanym w „Bibliotece Warszawskiej“ w roku 1858, tomie III na str. 448, pod tytułem: „Terminologia lekarsko-polska“.

Kończąc niniejszy zyciorys, dodamy tu jeszcze, że jak życie Baranieckiego było przykładem cnót domowych, źródłem licznych dobrodziejstw współbłiznim wyświadczanych, tak śmierć jego przez ogół uważaną była za klęskę. Tłumy różnej klasy i rozmaitych wyznań ludzi, zbiegły się około zwłok jego, by mu oddać ostatnią posługę. Po ich żalu, po ich łzach i rozpaczach, można było ocenić zasługi i znaczenie tego zacnego człowieka. Licznie zebrani obywatele, na barkach dźwigali te drogie szczątki do miejsca ostatniego spoczynku.

W papierach po nim pozostałych, znaleziono dowody hojności jego dla ubogich, z ujmą nawet własnych dzieci, własnej rodziny, a ukrywanej za życia w największej przed wszystkiemi tajemnicy. Niedostyć na tém: dla rozmaitych osób poczynił zapisy, dochodzące do 1,000 a nawet 1,500 rsr. Dziś grób jego stał się jakby miejscem pielgrzymki dla tych wszystkich, którym za życia niejednokrotną przysługę jako lekarz, lub jako człowiek miał sposobność wyświadczyć. W roku bieżącym, na cmentarzu jarmolinieckim, gdzie został pochowanym, rodacy z publicznych składek zamierzają wzniesć mu pomnik.

Tomasz Baraniecki zostawił jedną córkę zamężną i trzech synów, z których dwaj starsi, oddawszy się medycynie, godnie wstępują w ślady ojca.

Kronika tygodniowa.

Rodacy nasi, chcąc zrobić dobrą spekulacją, powiniby wszystkie futra i ciepłe okrycia posłać do Włoch, a w zamian ztamąd kapelusze ryżowe zakupić.

Pod względem temperatury z Warszawy robi się Neapol, w styczniu niema mrozów, bo że tam się zdarzy czasem parę stopni niżej zera, to razem niema co i rachować. Poczekajmy tylko trochę, a pomarańcze zakwitną i Saski ogród figowemi drzewami zasadzony będzie. Wówczas to czas będzie śpiewać:

Czemu wrzask orla mojego wygnańczy
Wolę niż piosnkę słowika miłosną?
Czemuż mi lepiej pod borową sosną,
Niz w cieniach mirtu albo pomarańczy?

Ale dlaczegóż, nieopatrzni, wycinaliśmy tak skwapliwie sosny nasze?...

Że w wielu miejscach mają być grane teatra amatorskie, że nawet opery całe miały być odśpiewane przez amatorów, o tém już niejednokrotnie słyszeliście, czytelnicy. Ale ja wam powiem inną nowinę, o której nikt jeszcze nie donosił, a która ukradkowym sposobem doszła do mojej wiadomości. Oto w jednym miejscu zamierzają odtańczyć balet, cały balet we dwóch aktach, z solami i chórami, i nie wiem czém tam jeszcze. Co to za uciecha byłaby dla Ludwika XIV, gdyby przypadkiem ożył i zabłądził do Warszawy, jakżeby się radował ten królewski amator Terpsychory, że jego przykład wlas nie poszedł? Prawda, że to jest karnawał, a więc najspodobniejsza pora do tanecznych turniejów, ale balet to nie walc ani polka. Jeszcze damy jak damy, ale mężczyzn ciekawsiemy bardzo jak to będą wyglądać w tych skokach i łamańcach. Dotąd rzecz ta jest dopiero w pomysle, ale jak nas zapewniano, próby mają się wkrótce rozpocząć.

Z przyjazdem z zagranicy p. Jasińskiego, dyrektora teatrów, odżywił się repertuar nasz teatralny. W ubiegłym tygodniu mieliśmy przedstawioną komedyjkę z francuzkiego, Feuillet'a „Wioskę;“ zapowiadają kilka innych nowości. Wioska, jest to prześliczna drobnotka, należąca do najudatniejszych płodów autora Dali i. Moralny sens z niej, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Z dwóch przyjaciół, obu już nie młodych, jeden podróżował ciągle, drugi siedział w domu na łonie rodziny, t. j. żony i służącej. Przepraszam że tu rodzinę biorę trochę w znaczeniu rzymskiem. Owóż podróżnik odwiedza domatora, przykładem i opowiadaniem zachęca go do podróży, rozżarza w nim imaginacją, mają wyjeżdżać nazajutrz;

pierwsza troska, pierwszy żal, zatruwają to spokojne dotąd życie domowe; żona płacze, służąca gniewa się. Ale to szczęście, ten spokój, które domator tak na oslep chce rzucać, mimowolnie oddziaływały na podróżnika, i zamiast zabierać z sobą w podróż przyjaciela, sam z nim w domu zostaje. Powiedzieliśmy, że nie ma tam ani młodych ludzi, ani namiętności żadnych, ani zwykłych perypetyj scenicznych, a jednak rzecz cała nader zajmująca i wybornie prowadzona.

Gra takich artystów jak pan Królikowski, pan Rychter i pani Ziemińska, mogłaby zapewnić powodzenie nawet sztuce nie z takim talentem jak „Wioska“ napisanej. Największa może zaleta wytrawnych i myślicy artystów w tém właśnie leży, że widząc ich na scenie, możnaby sądzić że te role nie mogły być inaczej odegrane, że trzymając się ściśle tekstu, każdyby to samo co oni uczynić potrafił. I to jest właśnie Seylla poczynających, którzy nie mogą i nie chcą zmiarkować ile tamci zużyli pracy, talentu i doświadczenia na tę łatwość, którą każdy podziwia. Te wyrazy, tak naturalnie wypowiedziane, te odcienia, tak umiejętnie uchwycone, studyowane były nieraz poe- dynezo godzinami, dniami całymi, żeby dopiero w dokładną ułożone całość, utworzyły role wykończone i odegrane bez zarzutu. Gdybyż każda sztuka u nas mogła być tak obsadzoną i tak odegraną!

Tém chętniej oddajemy tu sprawiedliwość dobrą grze powyżej wymienionych artystów, że postanowiliśmy odtąd w krótkich sprawozdaniach teatralnych, jakie w kronice tygodniowej zamieszczamy, inną aniżeli dotychczas trzymać się zasady. Nie od dziś przychodzimy do przekonania, że niektórzy z artystów naszych pragną żeby ich uważano za Faraonów egipskich, t. j. za nietykalnych i niepodległych krytyce. Faraonów sądzono wprawdzie po śmierci; ponieważ jednak nie spodziewamy się żyć tak długo, ażebyśmy uczestniczyli w tego rodzaju sądzie o artystach tutejszych, którym wszystkim jaknajdłuższych lat życzymy, ponieważ przytém czytelnicy nasi nie chcieliby zapewne czekać na tak długi termin, umyśliłszy w sprawozdaniach naszych o grze artystów, wymieniać tylko dobrą grę, a o złej zamilczać. Nie obrazi się dobry artysta, jeżeli przy ogólnej pochwalie znajdzie wytkniętą jaką drobną niedokładność, którą łatwo mu będzie poprawić. Każdy człowiek rozumny i prawdziwie utalentowany wie dobrze, że doskonałość nie jest rzeczą ludzką, że nawet Mojżesz i Dawid, Karol Wielki, Harun-Al-Raszyd, Annibal i Marek Aureliusz błędzili nieraz, a każdy z nich był jednak wcale innym artystą w swoim rodzaju. Otóż jeżeli wspomnimy o kim w naszej krytyce, będzie to dowodem, że szanujemy jego talent, pracę i staranie się. Znaczenie zaś milczenia, niech sobie czytelnicy tłumaczą zdaniem jakie biskup Krasicki o Ryczywole wyrzekł. I stanie się to nader słusznie, bo taki który pracuje i zastanawia się nad sztuką, który w ogóle chce dojść do poczesnego stanowiska pomiędzy artystami, taki niewątpliwie uszanować potrafi sumienną i bezstronną krytykę i wyciągnąć z niej dla siebie korzyści. Tych zaś, którzy innego są zdania, zostawiamy własnym losom, a ponieważ nie każdy z nich jest Cezarem, lękamy się ażeby za zbyt dufając w tę swoją fortunę, nie potonęli, czego im zresztą sami nie życzymy. To nie przeszkadza, że w każdej roli dobrze przez nich odegranej, oddamy im zupełną sprawiedliwość, a tylko zamilczymy o złych i nieudatnych, od nich więc samych zależeć będzie, ażeby ich nazwiska jaknajczęściej były drukowanymi.

Gdyby zdanie nasze miało jakikolwiek wpływ na kolegów naszych, sprawozdawców teatralnych, radzielibyśmy im trzymać się tegoż samego systematu. Jest to, sądzimy, najlepszy sposób krytykowania, jeżeli uznanie publiczne zyskają tylko nazwiska i talenta zasługujące na to. Długie zaś doświadczenie uczy, że nieuctwo i mierność są niepoprawnymi, Arystarchowie odkrywali Homerowe piękności, ale żaden krytyk, chociażby najzdrowszemi radami, nie wpłynął na poprawę takich, którzy jak ślimaki w skorupkach, zamknięci w swojej zarozumiałości, nie dają do siebie przystępu najzyczliwszym nawet uwagom.

Dziwna rzecz jednak, literaci, choćby najznakomitsi nawet, przyjmują krytykę, szanują ją, i rzadko który reklamuje, chociażby przeciwko niesłusznemu zdaniu o sobie wyrzeczonemu; toż samo można powiedzieć o muzykach, malarzach, rzeźbiarzach, owszem każdy z nich dopomina się niemal sprawozdania

o swoich utworach, bo wie dobrze, iż to jest najlepszy sposób rozgłosu dla niego i zachęcenia publiczności do kupowania jego dzieł. Tylko artyści teatralni nie są tego zdania, im się zdaje że krytyk, że literat w ogóle jest ich wrodzonym wrogiem, że na to tylko go pan Bóg stworzył na świat, ażeby w ich słońcu plamy wyszukiwał. Nie uwłaczamy wcale powołaniu artystów dramatycznych; talent, praca, zasługa, na każdym stanowisku godne są czci i poszanowania, a nazwiska Talmy i Racheli niemniej są głośne we Francji od Dumasów i Mussetów. Ale należy pamiętać że wszędzie i zawsze talent twórczy miał pierwszeństwo przed wykonawczym, chociażby dlatego, że pierwszego dzieła trwać będą wiecznie, podczas kiedy nazwisko drugiego we wspomnieniu tylko pozostanie. To wspomnienie właśnie, które go przechowa w pamięci przyszłych pokoleń, jedynie i wyłącznie zapewnić mu tylko może krytyka, nie tylko więc nie powinien uchylać się od niej, ale sam ją pierwszy wzywać, żądać i wywoływać. Artyści londyńscy i paryscy, pojmują to już poniekąd, i jakkolwiek zawsze bardzo drażliwi, uznają jednak prawa krytyki i poddają się im. U nas rzeczy się mają całkiem inaczej. Ale w iluż to niestety najżywniejszych sprawach, pozostaliśmy jeszcze w tyle za innymi!

Jako nowość na wystawie krajowej obrazów widzieliśmy w tych dniach prace kilku dam naszych. Pochwalamy im to zbratanie się z artystami, tego bowiem rodzaju współzawodnictwo salonu ze sztuką należy niezaprzeczenie do najszlachetniejszych. Dawno to utrzymywaliśmy, i zdanie nasze pod tym względem znane już jest dobrze czytelnikom, że kobiety u nas wszędzie i zawsze dają dobry przykład. To zainteresowanie się wystawą, wpłynie może i na płeć męską; spodziewać się przynajmniej należy, że ci panowie, widząc tak pięknie powiększoną wystawę krajową, wezmą jej sprawę więcej do serca i pospieszą ze współudziałem i pomocą, jakich artyści nasi oczekiwać od nich są w prawie. Ciekawimy czy chociaż obrazy o których mowa spieszenie zakupione będą, bo nie wątpimy, że te których one są dziełem, całą z nich korzyść odstąpią dla wspólnego dobra.

Szybko postępują składki na instytut muzyczny; dzienniki ogłosiły już pierwsze z nich rezultaty, które nad spodziewanie wielką sumę stanowią. Dwóch fabrykantów fortepianów, p. Zembruski oraz pp. Krall i Zeidler ofiarowali instrumenta swoje w darze instytutowi. To szlachetne współzawodnictwo dowodzi współczucia, jakie myśl piękna wywołała we wszystkich klassach u nas. Na prowincyi zapowiadają liczne bale i koncerty; w Warszawie ma mieć także miejsce bal składkowy, z którego fundusz ma pomnożyć sumę na instytut przeznaczoną. Kraj pojmuje, w czém prawdziwa jego korzyść leży i wszelkimi siłami przyczynia się do niej.

I w ubiegłym tygodniu nie zbrakło na koncertach tak publicznych jak i prywatnych, które wszystkie zostały z powodzeniem przyjęte. Miejsce Carrégo zastąpił pan Bellachini magik, który czarodziejskie sztuki uprzyjemnia jeszcze muzyką harmonijkową.

Dziwny wypadek zajął w tych dniach uwagę warszawskich flanerów. Jakiś jegomość (podobno chory na umyśle) wjechał konno do jednego z tutejszych zakładów cukierniczych i nie zsiadając z konia kazał sobie podać jakiś napój z bufetu. Mnóstwo osób zgromadziło się zaraz przed sklepem, a właściciel cukierni zyskał na tém, bo przez kilka dni następnych salony jego zapełniły się gośćmi, z których każdy kazał sobie rozpowiadać o szczegółach wypadku. Polecamy ten sposób powiększenia odbytu właścicielom innych handlowych tutejszych; radzimy im tylko ażeby pomyśleli o powiększeniu drzwi wchodowych, rozszerzeniu ścian i podwyższeniu sufitu, bo nie do każdego jeszcze sklepu u nas konno wjechać można.

O dwóch nowych literackich publikacjach należy nam tu wspomnieć. Pierwszą jest zbiór poezyj pod tytułem „Ziarna i Plewy“ przez Władysława Sabowskiego. Znajdujemy tam wiele ustępów z rzeczywistym pisanych talentem, i w każdym razie pierwsza ta praca oddzielnie drukiem ogłoszona dobrą jest poleceniem dla młodego autora, który już niejednokrotnie w piśmie czasowych dał się poznać publiczności. Drugą stanowi poemacik małych rozmiarów Henr. Merzbacha, drukowany w Paryżu, pod tytułem „Trzy struny.“ Rzeczności tam wiele, forma w wielu miejscach szcze-

śliwa, w ogóle znać nie mały postęp od dawniejszych utworów i książeczek, co dowodzi że pan Merzbach sumiennie pracuje nad sobą.

Piśmiennictwo nasze poniosło w tych czasach stratę dotkliwą. Dnia 20 grudnia r. z. w majątności swęj Wojutynie, w powiecie łuckim, zmarła Ewa z Wendorffów Felińska, autorka „Wspomnień z podróży po Syberji i pobytu w Berezowie,“ pamiętników i kilku powieści: „Siostrzenica i Ciotka,“ „Pan Deputat“ i t. d. Ciche, patryarchalne cnoty, skromna ale pożyteczna praca, złożyły się na sześćdziesięcioletni żywot tej zacnej niewiasty, której wspomnienie pozostanie na kartach historii literatury naszej. Najważniejszém, najwziętszém z dzieł tej autorki bez pretensyi, o co zwykle dość trudno, pełném prostoty i zajęcia, kreślonym z spokojną rezygnacją chrześcijańską w smutnych kolejach życia, jest jej dziennik podróży. Tłumaczono go na język angielski, francuzki, a wiele ustępów na niemiecki. Jęj pamiętniki, wyszłe z druku w trzech sporych tomach, ale jeszcze nieukończone, będą ciekawym materiałem dla historyka świeżo ubiegłych czasów; jej powieści, obok niewielu innych, właściwych dla nieskalanych serc i umysłów, długo jeszcze zostaną miłym dziełkiem polskich czytelników. Piękne to życie zasługuje na obszerniejsze wspomnienie, dlatego dzisiaj, dzieląc się tylko smutną wiadomością z czytelnikami, nie rozpisujemy się więcej.

Chociaż zima dość lekka, drzewo jednak drogie. I niema czemu się dziwić, lasy bowiem u nas tak są już wyniszczone, że doprawdy niewiedzieć zkąd już brać tego drzewa. Możemy jednak pocieszającą ogłosić w tym względzie wiadomość dla czytelników „Tygodnika Ilustrowanego,“ chociaż nie będzie to nowością, bo już raz u nas pod inną rubryką drukowanym było. Za pomocą fotografii ciał niebieskich i ulepszonych narzędzi astronomicznych, odkryto teraz że na księżycu znajdują się rozległe bardzo lasy, o ile się zdaje nader starannie zachowane i utrzymane. Owóż mamy gotowy zapas drzewa, byle tylko wiedzieć jakimby go sposobem dostać z tamtąd. W każdym razie radzimy mieszkańcom księżycy, ażeby gospodarstwo swoje leśne lepiej urządzili, niż to miało miejsce u nas i nie zasłużyli na przysłowie, że są mądrzy po szkodziu, jak to się teraz z nami dzieje. Zawsze jednak z tego cośmy powiedzieli można wziąć assumpt, że po udoskonaleniu balonów, tak żeby aż na księżycy mogły zajeżdżać, drzewo u nas stanie. Trochę więc tylko cierpliwości.

MEYN PAROWY NA LESZNIE W WARSZAWIE.

Wynalazek młynów jest równoczesny z epoką używania chleba ze zboża. Starożytni do rozcierania ziarna na chleb używali kamieni (*), tłuczenie zaś albo rozcieranie ziarna w moździerz, uważać można jako udoskonalenie tego sposobu. Młyny ręczne albo żarna są już przyrządem mechanicznym do mléwa bardziej skomplikowanym, choć bez wątpienia najdawniejszym. Do obracania ich używano niewolnic i przestępców skazanych na ciężkie roboty.

Gdy z czasem kamienie w żarnach powiększono, zaczęto używać do obracania ich zwierząt, potem wody, wiatru i nakoniec pary (**). Zastosowanie tej ostatniej do młynów przeszło w użycie z Anglii do całej zachodniej Europy, a z tamtąd przez Niemcy do Polski.

W kraju rolniczym młynarstwo uważać można za jedną z najsilniejszych dźwigni bogactwa krajowego; przez nie bowiem zyskuje zarówno i praca, i wartość produktu, i ziemia, ciągnąca odżywcza siłę z nawozu jaki daje inwentarz, karmiony odpadkami mléwa. Myśl ta ożywiła spółkę zawiązaną w r. 1825 z najpierwszych obywateli kraju, jak hr. Zamojskiego, Bnińskiego, Małachowskiego, Gutakowskiego i Za-

(*) Grecy rozcierali ziarno na kamiennych tablicach tłukiem, w ten sposób jak teraz robią czekoladę.

(**) Pierwszą próbę młyna parowego zrobił w Londynie nieśmiertelny Watt około 1780. Za jego przykładem poszli bracia Perier w Paryżu, ale nie mogli konkurować z wiatrakami. U nas, jednocześnie z założeniem młyna na Lesznie, rzucono się do tego w całym kraju, i już słychać o młynach parowych w Łowiczu, Radomiu, Międzyrzeczu, Płocku, Lublinie i Zegrzynku nad Narwią.

biełły, pod firmą: *Towarzystwo wyrobów zbożowych*; lecz jedynym owocem jej usiłowań był młyn parowy na Solcu (dziś własność Banku polskiego).

Handel zbożowy został po dawnemu w ręku spekulantów, obciążających monopolem producentów, a przemysł w ręku cudzoziemców i izraelitów, owęj jemioly obwijającej konary dębu, co żywi ją swemi sokami.

Od kilku lat dopiero usiłowania krajowców zwracać się zaczęły ku podniesieniu różnych gałęzi przemysłu. Jeden z mieszkańców Warszawy, p. Sławiński, powziął myśl założenia w naszym mieście prywatnego młyna parowego i obrał w tym celu willę zamiejską na Lesznie, przed laty kilkunastu ulubioną od Warszawian i znaną powszechnie pod nazwą *ogrodu Rembaczewskiego*. Possessya ta, nabyta przezeń w marcu 1858 roku, zmieniła się wkrótce w kolonią rozlicznych narodowości. Niemcy, Francuzi, Anglicy i Polacy zdawali się współzawodniczyć w budowie i ustawieniu młyna parowego, pod kierunkiem p. Pawła Kaczyńskiego, znanego inżyniera - mechanika. Paryż, Miluza, Dijon, Essons, Villeneuve, La Ferté sous Jouarre i prawie wszystkie najświetniejsze z fabryk i młynów miejsca składały się na to, aby zaopatrzyć nowy zakład w najdoskonalszą maszynę i kotły (Andrzeja Köchlin & Comp.), w najlepsze kamienie, tę najgłówniejszą podstawę młyna (Rogera & Comp.), w maszyny czyszczące, w pytle nowego pomysłu, w nowo wprowadzone odbieralniki, słowem we wszystko co uprościć może manipulacją, poprawić wyrób i zapewnić zakładowi świetne rezultaty, z korzyścią dla ogółu. W lipcu r. 1858 położono kamień węgielny, a w marcu roku następnego zakład już był w ruchu. Obecnie właściciel, pozbywszy się zagranicznych, drogo opłacanych nauczycieli, sam już z pomocą krajowców go rozwija.

Zakrój przedsięwzięcia jest na skalę kolosalną. Cała posiadłość zajmuje więcej jak 150,000 łokci kwadratowych gruntu; dotyka ulic Wroniej, Leszna, Okopowej i Żytniej, co daje rękojmię łatwości komunikacji, oraz możność rozwinięcia projektowanej piekarni, wzniesienia szpichrzy i składów dla handlu zbożowego. Territorium zakładu, przy rogu ulic Wroniej i Leszna, rozpoczynają magazyny. Od magazynów ponad sadzawką, połączoną z maszyną podziemnym syfonem i rynnami, przebiega do głównych drzwi młyna przez ulicę kolej żelazna, po której wagon odstawia zboże i produkt mława.

Budynek młyński piętrzy się sześcioma oddziałami, a znamionuje go prostota, właściwa budynkom fabrycznym, które odznaczać się winny wyborem materiału, dogodną dyslokacją i trwałością. W środku jego jest maszyna parowa o sile 40 koni, umieszczona na głębokich i ciężkich fundamentach z ciosu (jakiego dostarczyły kopalnie krajowe z Szydłowca). Porusza ona dwa oddzielne po obu

stronach budynku młyny, składające się z 10 par kamieni, perlaka, pytlów, windy, machin czyszczących i mnóstwa innych narządów ułatwiających pracę tak dalece, że z czasem potrzeba będzie rąk ludzkich tylko do wsypywania zboża pod elewator i do odbierania gotowego już wyrobu.

W rogu przedłużenia sali maszynowej mieści się suszarnia nowej konstrukcji. Z sali maszynowej,

W przedłużeniu dziedzińca młyńskiego, po za otaczającym go murem, przykupiono jeszcze jedną possessyę od ulicy Żytniej, z domem mieszkalnym i ogrodem, w zamiarze rozszerzenia zakładu z czasem na skalę najobszerniejszą.

Wspomnieliśmy wyżej o willi czyli pałacyku w tejże possessyi położonym. Istnieje o nim tradycja, że był własnością i mieszkaniem króla Stanisława Leszczyńskiego; lecz bezzasadność tego podania wykazują przytoczone poniżej fakta. Budowla ta, (której rysunek, podobnie jak młyna, załączamy), znacznym uległa dziś zmianom, i gdyby nie cztery odwieczne świerki z jednej, i cztery im współczesne lipy z drugiej strony pałacyku, jużby go pewno dziś nie poznali dawni dziedzice Leszna, kiedyś w cieniu tych drzew przesiadujący. Wewnątrz pozostała tylko część wielkiej sali owalnej, z budowy której i odpowiadającego jej podziemia, o niezmiernie grubych i mocnych murach, wnosić należy, że pierwotny kształt pałacyku był owalny i zajmował tylko jedną ogromną salę, z mieszkaniem na górze.

Z dawnych akt jurydyki Leszna dowiadujemy się, iż pałacyk ten wybudował w r. 1776 sławny za czasów króla Stanisława Augusta tapicer warszawski, Urban Forestier, rodem ze szlachty francuskiej, który bardzo znacznego dorobił się u nas majątku, miał kamienicę na Długiej ulicy, a potem i dobra ziemskie. Brat jego służył w polskim wojsku i był chorążym w artylerii koronnej.

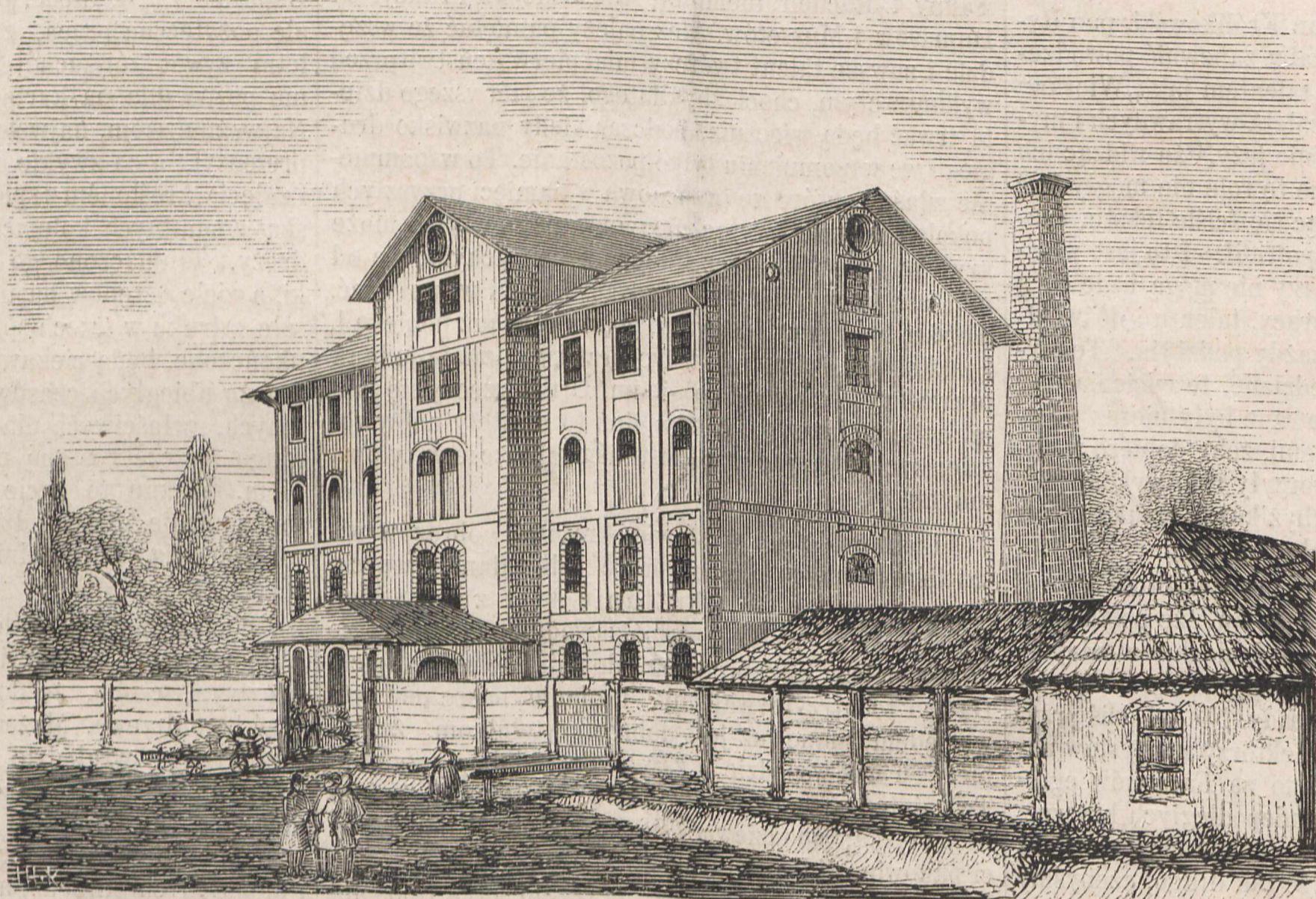
Dalsze posiadłości tej koleje mało przedstawiają ciekawego; ograniczamy się więc na wzmiance, że teraźniejszy właściciel zamierza ją z gruntu wyrestaurować i powrócić do stanu świetności, w jakim prawdopodobnie kiedyś się znajdowała.

ZAMEK TĘCZYŃSKI.

Jadąc koleją żelazną od granicy ku głośnym kąpielami siarczanymi Krzeszowicom, spostrzegamy po prawej stronie, wśród lasu na wyniosłej górze, dziś jeszcze imponujące ruiny tęczyńskiego (a jak go często piszą tenczyńskiego) zamku. Miejsce to, położone o cztery mile na zachód od Krakowa, o milę na północ od słynnej z przesłiznego położenia Alwernii, było gniazdem rodziny, która przez trzy wieki dostarczała krajowi mężów sławnych w różnych zawodach, znakomitych nauką, mężów, zdrową radą w sprawach publicznych. Dziś zwaliska tylko przypominają świetność od lat 222 wygasłego rodu, a mech i bujna

roślinność porosły cegły przeszło pięć wieków pamiętające.

Syn znanego w dziejach naszych Żegoty Toporzycy, Nawój z Przegini herbu topór, wojewoda sandomierski, a potem kasztelan krakowski, zbudował w roku 1319 ten zamek, którego fundamenta zdają się być wrostłymi w skałę. Po jego śmierci Tęczyn przypadł działem Jędrzejowi wojewodzie krakow-



MLYN PAROWY NA LESZNIE W WARSZAWIE, W POSSESSYI Nr 696.

(Rysował Piechaczek, rytował Kübler w drzeworytni „Tygodnika“.)

przejściem stanowiącym warsztat i podręczny magazyn, wchodzi się do kotłowni o trzech kotłach (każdy o sile 25 koni) umieszczonych w suterenie. W rozszerzeniu budowli tej na prawo jest lokal dla przyszłej piekarni, zaś między budowlą tą a kominem urządzono łazienkę, ku wygodzie zakładu. Komim wystrzelający na 50 blisko łokci w górę, dopełnia



PAŁACYK LETNI W TĘŻE POSSESSYI.

(Rysował Piechaczek, rytował H. Röber w drzeworytni „Tygodnika“.)

całości młyńskiego budynku, za którym wśród obszernego placu leży rezerwoar, komunikujący z maszyną syfonem i rynnami, a w jego wodach przezierną się nowo zbudowany spichrz z cegły czerwonej, 56 łokci długi, o suterenu, dwóch piętrach i poddaszu, wzorowa w swoim rodzaju budowla, zaprojektowana i wykonana przez budowniczego Józefa Kwiatkowskiego.

skiemu, który później zaczął się zwać Tęczyńskim. Odtąd zamek i okolica pozostawały w ręku Tęczyńskich, aż do wygaśnięcia ich rodu, i przez trzysta lat imię dziedziców Tęczyna zawsze w dziejach obok spraw ważnych jest wspomniane.

Nie wyliczymy tu wszystkich, ale dość nam wspomnieć Wacława z Tęczyna, syna dopiero wspomnianego Jędrzeja, wojewody krakowskiego, który około 1366 r. obrawszy stan duchowny, był przytém biegłym architektem i zaufanym doradcą Kaźmirza Wielkiego, który, jak pisze Długosz, radził sięgo, czy mu w rzędzie obronnych miasto jakie postawić, czy też zamek budować przezorność doradzała, a nawet na śmiertelną już złożony pościeli, jeszcze dokończenie budowy włodzimirskiego zamku poruczał jego staraniu.

Inny z Tęczyńskich, Jan, wojewoda bełzki, żyjący za panowania Zygmunta Augusta, znany jest z poselstwa do króla szwedzkiego Eryka, odbytego w r. 1563, w czasie którego poznał Cecylią, królową szwedzką i prosił o jej rękę. Król Eryk, nie zważając na nieró-

dzięć po odbudowaniu przez Jana Tęczyńskiego, zamek na Tęczynie był znaczną warownią. W niej po grunwaldzkiej porażce Krzyżaków (1410 r.), w której poległ sam wielki mistrz Ulryk von Jungingen z znaczną liczbą kawalerów, Władysław Jagiełło osadził wielu z wziętych do niewoli jeńców krzyżackich. (Długosz).

Świetność zamku nie o wiele przeżyła znakomity ród jego założycieli. Utraciwszy dwóch synów swoich: Kaźmirza, który w młodym wieku zginął na polowaniu na dzika, i Stanisława, zmarłego w r. 1634 w obozie, podczas wyprawy tureckiej, umarł w swym zamku d. 18 lipca 1637 r. osierociły Jan Tęczyński, wojewoda krakowski, który w ostatnich latach, widząc gasnących synów swoich i pozostając ostatnim z imienia, zwykł był przy wszystkich umowach i urzędowych czynnościach dodawać do swego podpisu: *ultimus virorum de Tenczyn*. W trzy lata po śmierci ostatniego z Tęczyńskich (1640), z ręką jedynej jego córki Izabelli, Tęczyn i obszerne, należące do niego włości przeszły na własność Łukasza Opalińskiego, marszałka nadwornego koronnego (zm. 1662).

cymi go Polakami, utonął na przeprawie przez Wisłę pod Kwidzynie. (Kochowski).

Zdjęty w owych czasach plan twierdzy tęczyńskiej przechował się w dziele Puffendorfa (*De rebus gestis Caroli Gustavi Suec. regis*). Widzimy w nim jeden tylko przystęp od południa, zasłonięty przedmurzem i szeroką wieżą. Przy wejściu na dziedziniec wewnętrzny była druga czworokątna i daleko wyższa wieża; na samym szczycie góry wznosił się pałac z wieżami, główną facyatą na południe obrócony, służący za istotną warownię. Obok niego z główną bramą stykała się kaplica; u stóp góry ze strony wschodnio-południowej były ogrody i winnice, których dziś śladu niema, oraz folwarki, na północ wieś Tęczynek, od zachodu las liściowy.

Od czasu tego zajęcia przez Szwedów, zamek tęczyński pustoszczyć zaczął, a do ruiny jego wiele się przyczynił pożar późniejszy. W r. 1703 był jeszcze mieszkalny. Rękopis współczesny Krzysztofa Dobińskiego (1) wspomina o znajdującym się jeszcze naówczas w zamku, w izbie stołowej, portrecie ostatniego z rodu Tęczyńskich. Wkrótce już potem, jak się zda-



ZAMEK TECZYŃSKI.

(Rysował Ceglinski, rytował Kübler w drzeworytni „Tygodnika.”)

wność stanu, którą w pewnym względzie równoważyła wzajemna skłonność królowy i polskiego posła, zaufanie monarchy, jakim się szczycił Tęczyński i znakomitość rodu słynnego zasługami w ojczyźnie, zgadzał się na ten związek, do którego jednak nie przyszło; gdy bowiem po powrocie do Polski i zdaniu sprawy z poselstwa, Tęczyński wracał do Szwecji, napadnięty przez korsarzy duńskich wzięty został do niewoli i umarł w niej, wprzód nim król polski zdołał wyjednać jego uwolnienie. (1)

Niewiadomo jaka była pierwotna budowa tęczyńskiego zamku, albowiem inny jeszcze, a znowu Jan Tęczyński, kasztelan wojnicki i podkomorzy wielki koronny, ten sam który opuszczającego Polskę pierwszego elekcyjnego króla, namawiał do powrotu na szląską granicę (zmarły 1593 r.), prawie na nowo (jak pisze Paprocki) odbudował zamek na Tęczynie. Z uwagi na górzyste położenie tego grodu, wnosić możemy, że za dawnych czasów przed, a tém bar-

Jeszcze za życia pierwszego z dziedziców nowego imienia, Szwedzi oblegali zamek pod dowództwem Königsmarka (syna) w r. 1655 i znacznego doznali oporu, po którym obleżeni kapitulowali. Warunków zawartej kapitulacji nie dotrzymał jednak Königsmark i splamił swe imię dozwoleń rabunków, morderstw i gwałtów. „Król szwedzki disgustował go z tej okazji (mówi rękopis z r. 1665). Sądzone go jeszcze naonczas, kiedy *specie justitiae et disciplinae* ludzi do siebie powabił chciano. Więc on, *ferox juvenis, in anticamera regia* uderzył audytora, to jest sędziego wojskowego w gębę, i do broni się nań porwał, za co był w areszcie, aż do wieści o narodzonym synu królewskim, którą przyniesiono królowi pod Królewic idącemu, we wsi Margenfeldzie *in Prussia ducali*, na tydzień przed Bożem Narodzeniem; tam jego darowano gardłem, *in gratiam principis nati*, ale niemal sejmowano, bo go nietylko od regimentu, ale i żołnierstwa w wojsku odsadzono i bannizowano *ex omnibus regni et regni Sueciae ditionibus*.” Wiarolomnego wodza wkrótce surowiej ukarała ręka Opatrzności, niedługo bowiem potem, uchodząc przed ścigają-

je, siła czasu i zaniedbanie, łącznie może z najściem plondrującego po kraju Szweda, dokonały swego dzieła. Zamek runął w gruzy, które do dzisiaj są niema pamiątką świetnej przeszłości.

Kilkadziesiąt lat po upadku zamku utrzymywała się tu jeszcze kaplica, w której złożone były zwłoki Kaźmirza Tęczyńskiego. Dopiero w r. 1792 książę August Czartoryski, wojewoda ruski, śmiertelne te szczątki

(1) Cytowany u Ambrożego Grabowskiego: „Kraków i jego okolice“ wyd. 4te z r. 1844 str. 545. Z tego rękopisu przekonywamy się o błędzie w podaniu „Starożytnej Polski“ (tom II str. 71), jakoby Tęczyn w r. 1655 był własnością Lubomirskich. Po zmarłym w r. 1662 Łukaszu Opalińskim, według tego źródła „Stanisław Opaliński, starosta nowomiejski, jako własny syn i dziedzic, te wszystkie *majorum suorum* dobra trzyma i jako drugie *provincias administrat*.” Błąd ten przeszedł do „Starożytnej Polski,” jak się zdaje, z tegoż samego opisu Krakowa, na następnej bowiem stronie p. Ambrożego Grabowski, mylnie objaśniając że w r. 1655 marszałkiem nadwornym był Jędrzej Lubomirski, robi tegoż dziedzicem Tęczyna, co tém dziwniejsza, że żaden Jędrzej Lubomirski nie był marszałkiem nadwornym koronnym.

(1) Na tym fakcie osnuł J. U. Niemcewicz swój romans historyczny p. n. „Jan z Tęczyna“

ki przenieść kazał do kościoła parafialnego we wsi Tęczynku, a z niemi i fundusz na utrzymanie kaplicy przeznaczony.

Do pobieżnie tu skreślonej kroniki tęczynskiego zamku dodać winniśmy, że w r. 1787 król Stanisław August oglądał te na pół zwalone mury i wieże. „Bawiło N. Pana (mówi Naruszewicz w Dyaryuszu podróży) wysokie miejsca tego położenia, a z niego rozlicznych gór, padołów i licznych wiosek widoki.“

Góra dźwigająca zwaliska Tęczyna pod względem mineralogicznym jest jedną z najważniejszych w kraju naszym. Składa się z porfiru i migdałowca, a okolice jej obfitują w kwarcy, ametysty i chalcedony. Ze szczytu nader piękny widok; u stóp góry rozwija się przestrzeń piaszczysta, bogata w węgiel kamienny (w Tęczynku), tak niezbędny w okolicy Krakowa, ubogo lasami zarosłej.

Ruiny, których rysunek podajemy, znakomitością rozmiarów jeszcze w zniszczeniu samém nasuwają myśl o dawniej wspaniałości i mocy tej budowy. Jeszcze stoją nieprzełamane sklepienia obszernych piwnic, czas i nieprzyjazne żywioły nie zmołyły dotąd sklepień pierwszego piętra, z pomiędzy których już jodły i świerki wyrosły. Ucichł szczełk oręza, zamilkła wrzawa gwarych biesiad, i głucha, grobowa cisza mimowolnie skłania wędrowca do rozpamiętywania lat przeszłości, której pamiątki w proch się rozsypują powoli.

Dziś Tęczyn i przyległa mu okolica znajduje się w ręku nowych właścicieli. W pobliżu zwalisk postawiono browar, a nazwisko wygasłej rodziny Tęczynskich, służy za nazwę sztyldową dla ulubionego w okolicy piwa!!!

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MALARSTWO.

Po dość długiej przerwie, wracamy do sprawozdania naszego z dziedziny sztuki, która tą razą dostarczyła nam kilka dzieł sympatycznych. I tak: na wystawie krajowej uderza najprzód pomysł do pomnika Jana Zamojskiego, wykonany przez p. Cenglera. Bohater z pod Byczyny, z marsowem obliczem, siedzi na pięknym arabskim rumaku, z buławą w ręku. Model ten, jako całość, wiele ma wspaniałości i ruchu, linie szczęśliwie wybrane, naturalne i szlachetne, modelowanie bardzo staranne i energiczne, słowem pomysł ten policzyć możemy do najpiękniejszych z dotychczasowych prac p. Cenglera. Są tu pewne mało znaczące usterki, jako to: brak całkowitej harmonii w traktowaniu figury i konia, który zdaje nam się być z większą dokładnością i precyzją wymodelowany jak figura; jednakże nie możemy tego za błąd poczytać, bo gdyby artysta miał wykonać kolosalny model do odlewu z brązu, dokładniejszym jeszcze wykonaniem usunąłby tę lekką dysharmonię.

P. Sypniewski w ostatnim swym obrazie stawia nam przed oczy dwie znane postacie Konrada i Aldony, z poematu Mickiewicza. Artysta nie obrał pewnej chwili przez poetę skreślonej, ale chciał uwydatnić ogólny charakter dwojga kochanków, i mimowolnie dodał sobie jedną trudność więcej, zmniejszając wydatną jasność sytuacji, nawet dobrze znającym treść tego pięknego poematu.

Jakkolwiek warunkiem jest sztuki malarskiej w podobnych pomysłach ucieleśnienie całkowitego charakteru figur, to jest przedstawienie tych a nie innych indywidualności, z najsubtelniejszymi odcieniami poetyckiej ich fizyognomii; to jednak, mając na względzie że sztuka ta może nam tylko pewną daną chwilę, pewien odcień charakteru, uwydatniający się zewnętrzną czynnością, okazać, nie można pod żadnym względem jednego tylko z tych warunków dopełnić, albowiem połączenie obudwu nadaje dopiero pomysłowi zupełną artystyczną wartość. W obrazie p. Sypniewskiego Aldona, poetycznie przybrana, stoi ze złożonymi rękoma, smętny wzrok utopiła w daleką przestrzeń, a Konrad z zachmurzonym obliczem patrzy na nią i wskazuje ręką na dymy pożarów, ciągnące się ponad ziemią, jakby mówił do niej słowami poety:

„Spójrz na Litwę, gdy się dzień nachyli,
Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy

Krwawym płomieni ruczajem obleje,
Oto są wojen napastniczych dzieje.
Łacno je skreślić: rzeź, grabież, pożoga
I blask, co głupie rozwesela zgraje,
A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
Głos wołający o pomstę do Boga.“

Wyraz Aldony szlachetny, ból wewnętrzny smutkiem wyrył się na jej bladej twarzy. Postać Konrada, niedość wyrazista, rysuje się w mętnym półcieniu na chmurnym niebie; brak jej wybitnego piętna chwilowego nastroju duszy, i dlatego gruppa ta, jakkolwiek dobrze ułożona, nie harmonizuje się w całość; uczucia tych figur różne nie podnoszą się i nie wyjaśniają nawzajem.

Techniczne wykonanie tego obrazu odznacza się poprawnością rysunku, kolorytem łagodnym; różowa draperya Aldony w pięknych rysuje się fałdach i efektownym kontrastem odbija ponury kolor nieba. W pracach p. Sypniewskiego dotąd strona techniczna góruje nad trafnością pojęcia przedmiotu, chociaż i z tej strony o wiele już więcej widać usiłowań, jak w dawniejszych jego pracach.

P. Tępa nadesłał z obrazu swego rysunek tuszowy, przedstawiający fantazyjnie pogrzeb Mickiewicza. Myśl jego piękna, ale wyrażenie jej, zdaniem naszym, niewłaściwe. Jeżeli to ma być pogrzeb, dlaczego nie odbywa się na ziemi, ale w chmurach? Wszakże ciało poety, to glina ziemiska, którą opuścił duch wiejszczy, by wzlecieć w rodzimą nieśmiertelności krainę; jeżeli apoteoza, cóż mają z nią wspólnego zwłoki ziemskie? Otóż w tém leży główny zarzut, że pomysł ten, jakkolwiek pełen poetyczności, niema jasności w swém ucieleśnieniu, nie widać w nim wyraźnego celu i prawdy poetyckiej. Co się tyczy układu i rysunku, kompozycya ta niewiele pozostawia do życzenia, ma bowiem wyraz pewności, zgodny z naturą przedmiotu.

Portret damy w czarnej sukni p. Simmlera, pięknością układu i wykonania rywalizuje z innemi znanymi już portretami tego artysty; zawsze jakaś nowa pokonana trudność, umiejętna kombinacya w kolorycie, a nadewszystko wzorowa sumienność cechuje prace p. Simmlera.

Widok Warszawy od strony Pragi przy świetle księżycy p. Schouppé, do najpiękniejszych prac jego należy. Umiejętny światłocień nadaje temu obrazowi niepospolity efekt, koloryt mglisto-srebrzysty, w którym kąpie się całe miasto, oddany z wielką prawdą i dobrze charakteryzuje całą poetyczną uroczystość północnej miesięcznej nocy.

Krajobraz włoski p. Cieszkowskiego z Rzymu wiele ma zalet kolorytu, oddalenia powietrzne dobrze utrzymane, w drzewach tylko niema dostatecznego wyczerpania.

P. Cieszkowskiemu zbywa jeszcze na pewności w harmonizowaniu pojedynczych planów w jedną całość, i dlatego niektóre partye wzajemnie się skłócają i psują całość kompozycyi.

Dziady pod kościołem p. Pillatego w niczem nie okazują nowego zwrotu, tak w sposobie poczucia kompozycyi, jako i w wykonaniu. Zawsze ten sam zręczny rzut światła, typy figur prawdziwe, szczególnie wyraz zebraka odbierającego jałmużnę. Całość tego obrazu dobrze pomyślana, ale szczegóły nie straciłyby wcale na staranniejszym wykonaniu.

KWESTYA PODRZĘDNA,

PRZY KOMINKOWYM OGNIU ROZBIERANA.

(Opowiadanie Gabryeli).

(Ciąg dalszy.)

— Nie spodziewałem się że pani tak rozsądnie wyrozumiała, przyświadczył mi zdradziecko pan Jerzy. Zupełnie codo słowa zgadzam się na pani systemat: płynny jak rzeka, wśród coraz innych krajobrazów, innych twarzy, innych imion....

— Oh! ja wiem że pan się jednak co do słowa nie zgodzi, przerwałam pośpiesznie złośliwą parodyą. Płynny jak rzeka, ale płynny ku morzu, płynny czystą, nie rozszarżoną po bagniskach, nie zatrutą błotnemi moczarami wodą.

— A jak się nam źródłana woda sprzykrzy, to ją wylejmy i nową nasączmy; jak się serce jedną twa-

rzą i jednym znudzi imieniem, to wyprzątnijmy, wymiećmy je co prędzej i wstawmy inną, inaczej nazwaną twarzyczkę: zamiast Józefy, Maryannę, kiedyś bez wątpienia zamiast Maryanny, Hermenegildę, a zamiast Hermenegildy, Kunegundę, i tak dalej, coraz dalej, aż w nieskończoność zbawienia. Dawniej się to nie stałością, donżuanizmem, czémś gorszym nazywało jeszcze, dziś ma się gimnastyką duchową nazywać, a Karolina powiada, że już się rzeczy tylko nazwiskami między sobą różnią. Gdzież znowu, i nazwiska mieszają się chaotycznie, rzeczownik z rzeczownikiem, przymiotniki z przymiotnikami, czarne, pstre, białe, tasują się jak karty przy wiście; jednemu ten, drugiemu ów padnie, zupełnie przypadkowo, nie ma na to żadnej w grammatyce reguły.

— Olesiu, Olesiu! upomniałam rozdąsaną moję przyjaciółeczkę, nie lubisz trawestowanej Eneidy, a czemu trawestujesz pocziwe słowa, w dobrej wierze wymówione? Odwołuję się do twoich własnych wspomnień. Wszakże w dzieciństwie tak podobno kochałaś swoją niankę, żeś się rozchorowała gdy cię z nią na kilka rozdzielono tygodni, kochałaś ją więcej niż matkę i ojca. Później jednak, gdy się instynkt wydoskonalił i pierwsze pojęcia zbudziły, daleko więcej, daleko już lepiej rodziców od nianki kochać zaczęłaś. Potem wspominałaś mi o piérwszej przyjaciółce swojej, dziewczynce, która się wybornie umiała z tobą w jedenastym roku twego życia bawić, ale która po siedemnastu latach zupełnie inną poszła drogą. Wszakże już dziś jej nie kochasz? dziś kochasz Eleonorę, a ja ci mogę śmiało, bez ubliżenia twój godności, powiedzieć, że jutro będziesz znowu kogoś lepiej od Eleonory kochała. Są to niby innogatkowe uczucia, z pozoru mniemałabyś mogła, że się nie dadzą do sprawy Heliodora zastosować; wszystko to jedno przecież, i w takiej miłości nieudolne serce ludzkie pewnego wykształcenia potrzebuje. Rzadko bardzo komu jest danem od razu, przy piérwszym, jak mówi Karolina, serca uderzeniu, spotkać owę swoją przeznaczoną, owę swoją jedyną, z którą aż do grobu zajść będzie można spokojnie. Zwykle, jeśli serce już doszło swój pełnoletności, jeśli z wymaganiami swemi się odezwało, to mu braknie godnego na odpowiedź serca; szuka więc, myli się, odrzuca i chwytą z kolei, aż póki tego co mu się przynależy nie znajdzie na świecie. Czasem znowu znajdzie bardzo, dajmy na to, drogocenny przedmiot, znajdzie drugie i zacne i kochające serce, lecz znajdzie w chwili jakiegoś przejścia anormalnego, w chwili kiedy nie jest sobą jeszcze, nie zna się, nie rozumie, nie wyciągnęło z siebie, do życia i ruchu nie przywołało wszystkich swoich składowych pierwiastków, nie przejrzało się i nie odgadło we wszystkich przypuszczalnych możliwościach, w chwili swój „małoletniej“, jednem słowem tę rzecz określając. Jakże chcesz Olesiu, jakże śmieś wymagać moja Karolino i ty panie Hilary, żeby takie nieświadome siebie serce od piérwszego uderzenia żelaznemi skowało się łańcuchami, lub Jozuego głosem krzyknęło: „Sta sol“! Nie, to nie jest w naturze ludzkiej i to być nie może w przepisach najsurowszej moralności. Wiem że pan Jerzy bardzo łatwo tę prawdę na sofizmat przekreśli, ale wiem też że jego sofizmat prędko się rozbije w jego własnym sumieniu. Bo ja nie mówię o tych naturach koślawych, samopas, bez ideału, bez dążności szlachetnej żyjących, które zmieniają uczucia jak kolory, dla zmiany jedynie, które nie potrzebują kochać czegoś lepszego i lepiej kochać, ale owszem spadają coraz niżej, coraz niedołężniej, aż ich zmienności wreszcie żadnym nawet synonimem uczucia orzekać się nie godzi. Ja mówię tylko o ludziach co szczerze, w prostocie ducha idą swoją drogą, co nigdyby nie złego popełnić nie chcieli, a ku dobremu różnemi wspierają się sposobami. O takich ludzi jestem spokojna, nie lękam się ich zmiany, o ich przyszłość się nie kłopotuję.

— Jednakże ja wcale nie z tego punktu usprawiedliwiałam małżeństwo Heliodora, przerwała mi panna Wiktorya. Czy miał prawo, czy nie miał prawa zakochać się w Maryni, gdy piérwej Józefę kochał? to mi na myśl nie przyszło....

— Zdaje się jednak, że od tego właśnie zacząć należało.

— Ja przyjąłam fakt dokonany i dlatego powiedziałam że Heliodor mniej zgrzeszył nie żeniąc się z Józefą, bo moją znów miarą zasadniczą jest głównie miłość w małżeństwie. Mój Boże! toż to przypatrzeć się tylko jak ludziom z ludźmi trudno żyć na

świecie! Ani komary nad wodą, ani muchy w sierpniu tyle nie dokuczają, co człowiek człowiekowi dokuczy. Próżno stwarzać najprzyjaźniejsze okoliczności, próżno układać w kodeksach najmądrzejsze artykuły: gdzie niema wzajemnego ukochania, tam zawsze cichsze tylko lub głośniejsze piekło. Osadźcie państwo w dobrym bycie, w niezależnym położeniu, we wszystkich jakich tylko można sobie życzyć stosunkach, rodzinę sprowadzoną do pierwotnych swoich związków: męża, żonę i dziecię; niech im tylko miłości zabraknie, wnet się przekonacie, co to za ciężkie, swarne, chropowate życie im się uściele; a dajcie miłość choć ubogim, choć zapracowanym po same łokcie ludziskom, jeszcze to jakoś z większą chwałą pana Boga pójdzie. Nie jestem tak romansowa, bym się koniecznie gwałtownych uniesień namiętności w przedślubiu dopominała; wiem że i bez namiętności, z szacunku zawarte małżeństwa bardzo szczęśliwe bywają niekiedy; lecz bywają szczęśliwe dlatego właśnie, iż później miłość się znajdzie, albo dlatego, iż się dobiórą takie natury, co nie mają w sobie materiału na rozwinięcie wyższych potrzeb lub zatęsknienie ku promienniejszej piękności. Wcale rzecz się ma inaczej, kiedy kto do wspólki rodzinnej przynosi w żalach swoich obraz utraconego ideału, kiedy z uczuć ledu wystarczających na przedzwiganie dni powszednich, najżywsze jeszcze odwraca uczucia, by walczyć z samym sobą lub ku przeszłości niepowrotnej uciekać. Proszę tylko wyobrazić sobie taki dramacik do mowy: ile to z jednej strony niecierpliwości, kwasów, uchybień, w najlepszym razie ile zniechęcenia, smutku i koniecznego kłamstwa; a z drugiej strony ile zawsze podejrzeń, nieufności, ile upokorzeń okrutnych, ile chwil to oburzenia, to znów bałwochwalstwa, to buntu szalonego, to nikczemnej uległości! Oh! jestem pewna, że nigdy żadna kobieta nie przyjęłaby świadomie takiego losu, i pan Heliodor dobrze zrobił, że go pannie Józefie nie narzucił, przez źle zrozumianą wspaniałomyślność.

— To co dotychczas powiedziałaś, kochana panno Wiktoryo, wcale się nie sprzeciwia temu co ja mówiłam, owszem, jedno z drugiego wypływa. Ja się dopominałam, żeby wolno było człowiekowi wyrastać ze zbyt ciasnych stosunków, jak się z sukienek zbyt ciasnych wyrasta, uwzględniłam zmianę przedmiotu, byle się prawdy uczucia doszukać; ty zaś utrzymujesz, że bez tej prawdy nieszczęścia tylko i zgorzienia się rozsiewają. Po prostu przyczyna i skutek: o ile skłamięz uczuciu, o tyle skłamać musisz wszystkim następnym, z uczucia wysnutym życia obowiązkom.

Z minutę może ogólne panowało milczenie, aż pan Adolf pierwszy się wyrwał:

— Uciec od niej daleko i zapomnieć jak najprędzej. Co z głowy, to z myśli.

— A takie osoby jak pani Karolina, nazwą to nikczemnością, podłością, i wszystko się już rozstrzygnie, dokończył pan Hilary.

— Ale inne powiedzą, że środek radykalny, zaprzeczyła niby panu Hilaremu Olesia. Jednak chciałabym wiedzieć, czy pan Adolf się kiedy o tej możliwości z panem Jerzym naradzał.

— Przepraszam panią, ja to sam z siebie mówię.

— A ja zaświadczam, że zupełnie sam z siebie, rzekł pan Jerzy. Uciec i zapomnieć, trudniej to niż się komu zdawać może. Uciec, gdzie? chyba, że człowiek ani urzędem, ani majątkiem do miejsca nie jest przywiązany, to niech do Ameryki emigruje; bo tak z ulicy na ulicę, z gubernii nawet do gubernii, nie warto, ciągle się bywa na niebezpieczeństwo spotkania narażonym. A zapomnieć... pamięta się daty historyczne, imiona miast, rzek, krajów azjatyckich; doskonałe zapomnienie od woli naszej nie zależy. Prócz tego, jabym nie był tak okrutnym ani dla porzuconej kochanki, ani dla samego siebie. Adolf może się kłopotce zbytkiem zbieranych wspomnień, ciężką na jego mózgu, radby się z nich otrząsnąć; ja biedny nie taki bogacz, jeśli się cokolwiek przez życie do skarbniki ściągnęło, to pod kłódką trzymam, nie chcę tracić ani szelągka; tyle mojego przecież, co wspomnę czasem, wieczorem, przy fajce i przy szklance herbaty, jeśli kto z gości nie nadejdzie. Od uśmiechu pewnej ślicznej kuzynki, której podczas szóstoklassowych wakacyj najwyborniejsze z lasu przynosiłem orzechy, do kryształowej łezki pewnej jeszcze śliczniejszej osoby, z którą się raz przy świetle księżyca zegnałem, niczego, niczego nie chcę zapominać. Nie taki ze mnie magnat, jak z Adolfa.

— Lecz pan Adolf, rzekłam trochę zniecierpliwiona, pan Adolf przynajmniej kategorycznie na moje pytanie odpowiedział, a pan Jerzy za majakami puścił wyobraźnię, i nie wiem czy go teraz o rzetelne, sumienne, rozsądne zdanie uproszę.

— Ach! pani dobrodziejko, niech pani każe tylko, zawsze jestem gotowy.

— Co dowodzi że pan nieraz już przemyślał nad tem zagadnieniem, przycięła mu Olesia.

— Nigdy, broń Boże! nigdy nie przemyślałem; zawsze się to jakoś samo z siebie, bez planu ułożyło. Gdy jednak o plan pytają, więc z natchnienia zaimprovizuję.

— Panie Jerzy, nie z natchnienia, ale z zasady jakiej gruntownej, przełożyłam poważnie.

— Więc dobrze, jestem posłuszny, biorę najpierw gruntowną zasadę. Oh! spodziewam się że gruntowną, biorę naturę kobiecego serca. Według moich spostrzeżeń kobiety zawsze, ciągle, bezprzestannie kochać potrzebują: kochają lalkę, kanarkę, przyjaciółkę, wielbiciela, dzieci, wnuki, a jak tego nie stać, to kochają mopsy, szpice, papugi, kotki, słowem zawsze kochają. W takich okolicznościach jakie pani przedstawiła, zmienność ulubionego najsroższy cios zadaje z tej przyczyny właśnie, że niby ciąg życia rozrywa, na czas jakiś opróżnia serce. Łatwiej słowik w maju ból gardła przetrzyma, łatwiej kwiaty bez słońca się obejdą, łatwiej szuler ostatniego dukata przegra, niż kobieta zniesie tę myśl okropną: „już nie mam kochać kogo“. Otóż widzi pani, na zasadzie znajomości kobiecego serca, jabym się starał myśl podobną uprzędzić. Wszak bawimy się w przypuszczenia, pani na to pozwoliła. Ja więc, przypuszczam, jestem Heliodorem, panna Aleksandra jest panną Józefą, a pan Adolf... i mówiący zająknął się trochę.

— Juźcić nie możesz przypuścić, że jestem Marynią, wtrącił tenże bardzo dowcipnie.

— A pan Adolf, ciągnął dalej, nie zważając na przerwę, pan Jerzy, pan Adolf, jest panem Adolfem, tylko niby niezupełnie takim samym panem Adolfem; musiałbym go dosztukować wyższymi obcasami, włosów mu przyciemnić, czoła rozjaśnić, oczu powiększyć. Ależ to wszystko już niech państwo sobie własną fantazyą uzupełnią; wracam do mego przypuszczenia. Ja Heliodor, spostrzegam się nagle, że już od pewnego czasu daleko mi częściej droga się zawraca tam, gdzie mieszka Marynia, a nie tam gdzie Józia. Przy Józii koło dziewiątej już zegarek z kieszeni wydobywam i patrzę która godzina; przy Maryni siedzę do północy i wydziwić się nie mogę, dlaczego jej ciotka, matka lub inna jakaś opiekunka usta chustką zasłania i ziewa raz po raz. Badam inne symptomata: wszystkie też samę zapowiadają chorobę. Stało się, kocham Marynię, nie Józję. Skoro tylko nabyłem tej pewności, idę do wspólnie nam znajomego pana Adolfa, biorę go pod rękę i prowadzę z sobą do Józji; potem, wracając, chwalebę pannę Aleksandrę... nie, omyliłem się, chwalebę Józję, jak na to zasługuje, wynoszę ją pod niebiosa. „Czy przypatrzyłeś się jej oczom błękitnym? takie jasne kolorem, a takie ciemne, głębokie, niezgruntowane spojrzeniem. A rzęsy, jak długi cień prawie na pół twarzy rzucają! Chociaż mnie się zdaje że z całej twarzy, to jej usta najlepiej kocham. Nie, nie, najlepiej kocham spadek policzków, co tak ślicznie siatką żyłkową przebija i tak wymownie rumieńcem lekko różowym, lub śnieżną bladością się mieni. Wszak prawda, że im dłużej się wpatrywać, tem coraz więcej tajemniczych piękności w jej obliczu się odsłania? Na pierwsze spojrzenie nawet niktby się nie domyślił; ale gdy się umie każdy szczegół, każdy przelotny wyraz pojmuwać... to aż dziwno człowiekowi, że mógł kiedyś mniej cenić, że mógł niedowidzieć; bo też blask tego wdzięku nie lśni dyamentem po wierzchu, ale promienną iskrą z wnętrza duszy płonie... I takbym dłużej jeszcze mówił o... Józji, a pan Adolf zwolnaby mi coraz harmonijniej wtórował. Uwielbienie jest do pewnego stopnia zaraźliwą chorobą. Czasem wszyscy przechodzą koło jakiej skromniutkiej na wieczorku panienci, nikt ani się spostrzeże czy blondynka, czy brunetka. Niechże kto powie głośno: ach! ładna! wnet jak owieczki wszyscy chórem powtórzą: ach! ładna! Więc jabym korzystał z tego usposobienia, i panu Adolfowi odstępując mojej duszy zaszczytałbym ekstazę. Po kilku takich wizytach miałbym prawo trochę zazdrości okazywać. Zazdrość jest najsubtelniejszym pochlebstwem; o szczerości pochwał

można jeszcze wątpić, ale kto zazdrość wzbudził pięknnością, szczęściem czy rozumem, ten już nieomylnie jest w posiadaniu piękności, szczęścia i rozumu zatwierdzony. Pochwała prócz tego do odpłaty, do pewnego zwrotu obowiązuje; zazdrość wzbudzona daje nam blankiet na wszelkie drobnutki, eleganckie zdrady, podstępny, wybiegi, zazdrość rozwiązuje nam ręce, podbija w górę animusz, wieńczy skronie tryumfu laurami, a dłoń najniebezpieczniejszą bronią, palmą męczeństwa, uzbraja. Skorobym tedy wymiarkował że pan Adolf już się o laur stara, jabym mu z wszelką bezinteresownością palmy męczeńskiej dostarczył. Byłbym dla niego, a zawsze w obec panny Józefy, najprzykrzejszym fantastykiem, najniesprawiedliwszym sędzią, najdokuczliwszym kolegą, prześladowałbym go, aż do wzbudzenia litości. No, u tej mety stanawszy, gdybym jedno serce uwielbieniem i próżnością, a drugie rzewnym politowaniem, chęcią wynagrodzenia zniesionej krzywdy skusił, to jużbym mógł z bardzo spokojnym sumieniem coraz częściej i dłużej Marynię odwiedzać, dla panny Józefy przecię dostawiłbym zastępcę. (Dokończenie nast.)



Pana M. R. w Warszawie zawiadamiamy, stosownie do jego życzenia, że autorem artykułu o Kraszewskim, zamieszczonego w Nrze 17 „Tygodnika“, jest znany krytyk i estetyk, p. Kazimierz Kaszewski, jeden ze stałych współpracowników naszego pisma.

Uwagi pana F. S. w Warszawie dowodzą zdrowego zapatrywania się na rzeczy; radzibyśmy pomówić z nim osobiście.

Nieznanym czytelniczce (?) która nam nadesłała artykuł o stanowisku kobiet w społeczności, szczerze dziękujemy. Myślom tak serdecznym i pocziwym chętnie zawsze otworzymy szpalty naszego „Tygodnika“.

Panu S. B. w Warszawie wdzięczni jesteśmy za przesłane nam zadania szachowe. Zrobimy z nich użytek w czasie właściwym.

Panu B. z pod Grójca. Co do zadania w numerze 15, chcieliśmy Pan wierzyć iż mat jest nieunikniony; ponieważ jednak przedstawia kilkanaście możliwych wariantów, więc ich tu wszystkich dla braku miejsca, wypisać nie możemy. Co do zadania w nrze 16, obrona koniem z F6 na D5, a potem z D5 na E7, byłaby dobrą, gdyby ten koń... nie był trupem; bo zapomniałeś pisać o tym, że na D5 zabija go koń F4, który w następnym posunięciu albo sam daje mata (C7 lub F6), albo, jeśli go sprzątnie pieszek C6, to matuje wieżę, stając na E1.

ZAMEK W KOSZKWI.

Powiat olkuski, a osobiwie południowa, ku Galicyi położona część jego, należy bezsprzecznie do najpiękniejszych naszego kraju okolic. Nakształt niezmierzonego morza, cała powierzchnia ziemi faluje się naprzemian w nieskończoną liczbę zielonych dolin i wzgórz, to ciemnymi szumiących lasami, to przybranych w różnobarwne szachownice zbóż, to siwiejących nagimi skałami, z których nierzadko wystrzelają kościołów i zamczysk dawnych murów. Najcudniejszym jednakże zakątkiem cudnej tej okolicy, jest położona na samej granicy, u bram prawie królewskiego Krakowa, dolina Prądnika.

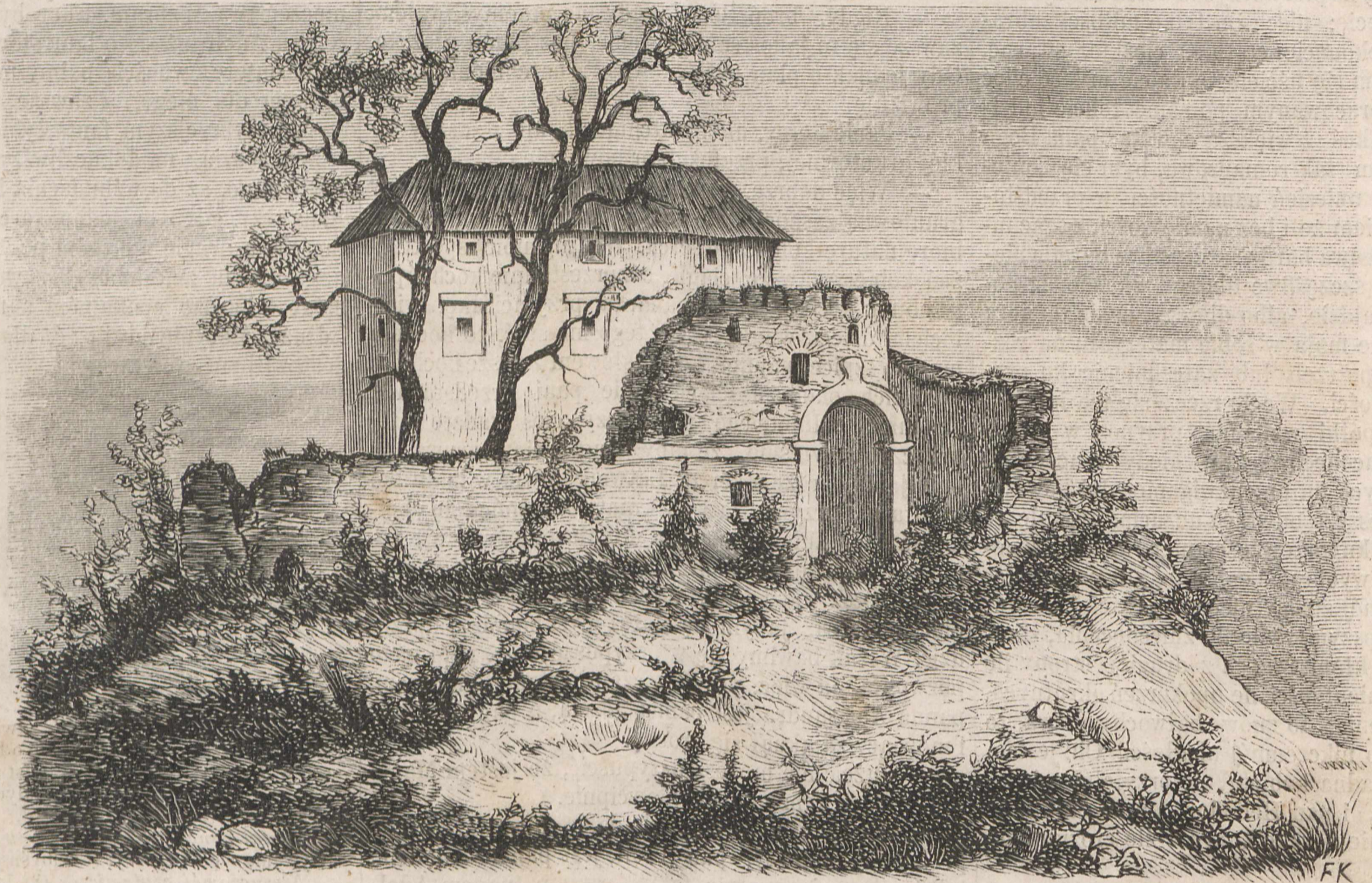
Głęboki ten jar, wyłobiony gwałtownym ściekiem popotopowych wód, mnogimi skrętami i rozgałęzieniami ciągnie się na kilka mil długości. Równe i szmaragdową trawą zieleniące dno jego przepłatają, jak srebrne wstęgi, wartkie strumienie, nazwę Prądników noszące, a obie strony doliny zamykają, nakształt cyklopicznych murów, prostopadłe ściany skał, nieprzerwanymi ciągnących się szeregi. Lecz i te potężne, ręką Boga szalejącym falam wzniesione zapory, nie ostały się nietknięte niszczącemu wieków wpływowi. Powodzie, skwary, pioruny i mrozy podarły je i poszarpały w miliony bruzd, szczelin, przepadlin i jaskiń. Harde ich szczyty, jedne pochyliwszy się, groźnie zwieszono spoglądają w dolinę, jak gdyby wyglądały gdzie upaść mają, — inne, oddawna już spadłszy, leżą dziś samotnymi bryłami wśród łąki, — inne, poszczerbione w fantastyczne gzygzyki, przy niepewnym zmierzchu wieczornym przedstawiają ludzące zruinowanych baszt i blanków podobieństwo.

Prócz tych samorodnych gmachów, nie zbywa tu przecież i na innych, rękoma ludzkimi wzniesionych pomnikach. Na wniścieniu prawie samém doliny wita

nas olbrzymi zamek piesko-skalski, najokazalsza tego rodzaju budowla w całym może kraju naszym. Dalej nieco, na posadzce zruinowanego piastowskiego zamczyska, stoi pustelnia Grodzisko, — dalej jeszcze, z pośród gruzów, wystrzela kaźmirowska baszta Oj-cowa, — dalej nakoniec, w najbardziej ku Krakowu posuniętym ramieniu doliny, na tle zielonego lasu rysują się malowniczo białe ściany najskromniejszego,

powszechnych, dla posiadaczy swych i okolicy całej ważnym nieraz stawać się mógł punktem, ofiarując bezpieczne schronienie przeciw mniejszym, artylerją nieopatrzoną oddziałom nieprzyjacielskim, jak również przeciw łotrowskim bandom, wśród zamieszek po kraju grassującym. Obecnie z zewnętrznych jego warowni ocalały małażnacze szczęty okolnego muru i napwół w gruzach leżąca brama wstępna, wjezdna

teraźniejszego dziedzica, pana Sedelmajera, przeszła Koszkwia od Wodzickich, którzy ją od Wessłów nabyli. Zresztą w dwóch jeszcze dziełach znaleźliśmy o tym zamku jakąkolwiek wzmiankę, mianowicie: Franciszek Wężyk w poemacie swym „*Okolice Krakowa*,” poświęcił kilkanaście wierszy opisowi Koszkwii; po nim zaś Klementyna z Tańskich Hoffmannowa, bawiąc tu jakiś czas na wiosnę 1824 roku, da-



ZAMEK W KOSZKWI.
(Rysował Kostrzewski, rytowano w drzeworytni „Tygodnika.”)

najmłodszego prawda z tych wszystkich pomników, lecz niemniej przeto w rodzaju swym malowniczego, zamczku w Koszkwii.

Zamek ten, którego rysunek podajemy, wznosi się na skalistym wierzchołku niewielkiego wzgórza, panującego ponad ogrodem dworskim i drogą z doliny w górę prowadzącą. Z powodu posady swojej nie był on nigdy ani obszernym, ani bardzo warownym; zawsze jednak w czasach nieładu i niebezpieczeństw

nazwać jęj nie można, gdyż jest tak wązka i niska, że pojedynczemu konnemu z trudnością by przyszło przecisnąć się przez nią. Z wewnętrznych budynków pozostał tylko jeden, z dwóch czworogrannych skrzydeł w kłamrę się zbiegających złożony, dwupiętrowy gmach, nakształt baszty ponad przepaścią sterczący. Doskonale zachowane, potwornie grube jęgo mury, pokryte lekkim gontowym dachem, za spichrz dziś służą. Nie brak więc w nich zapewne na myszach, szczurach i kunach, tych wszystkich mieszkańcach pustek, wśród nocy napełniających je piskiem, łoskotem i bieganiem, zabobonnych przechodniów straszącym. A jednak żadna powieść o pokutujących duchach nie wylęła się o koszkiwskim zamku. Dowód to, że nie musiał nigdy służyć za scenę zdarzeniom uderzającym wyobraźnię ludu, któreby mu za wątek do strasznych posłużyć mogły powieści.

Istotnie tęż tak tradycya, jak i piśmienne źródła skąpe są o dawniejszych losach tego zamku, gdy ani dwór, ani kościół tutejszy, żadnych dawniejszych akt nie posiada.

To tylko wiadomo, iż należał zdawna do znakomitej rodziny Jordanów z Zakliczyna, starostów spiskich, oświęcimskich, zatorskich i wielkorządzców krakowskich, sławnęj z procesu na początku XVIII wieku, o dziedzictwo ordynacyi Myszkowskich z Wielopolskiemi. Zbudowany w końcu XVI lub na początku XVII stulecia, zniszczony był w czasie wojny szwedzkiej. Podźwignął go, a nawet zupełnie odbudował w roku 1720, Michał Jordan, łowczy w. koronny, później wojewoda braclawski, zmarły w r. 1739, zapalony przeciwnik partyi saskiej, i dlatego po jęj ustaleniu na tronie polskim długo był w niełasce u Augusta II. Jest podanie, iż gdy Jordan pojednał się z królem, ten, chcąc mu dać dowód zupełnego przebaczenia, przyjął zaprosiny na łowy wspaniałe, ku czci jęgo w lasach tutejszych wyprawiane, i gościł na zamku w Koszkwii. Do końca XVIII stulecia miał być jeszcze mieszkalnym, jak dowodzi wsparta na dwóch ciężkich słupach wystawka, z tęj pochodząca epoki. Obecnie pokryty dachem, służy za spichrz zboża, zabezpieczony w ten sposób od zagłady na długie czasy. Do rąk

towała ztąd kilka ustępów swego dziennika, w czwartym tomie *Rozrywek* pomieszczonego. W obu jednak dziełach wzmianki są tak pobieżne, że nas nic, więcej nad to, cośmy własnymi widzieli oczyma, pouczyć nie były w stanie.

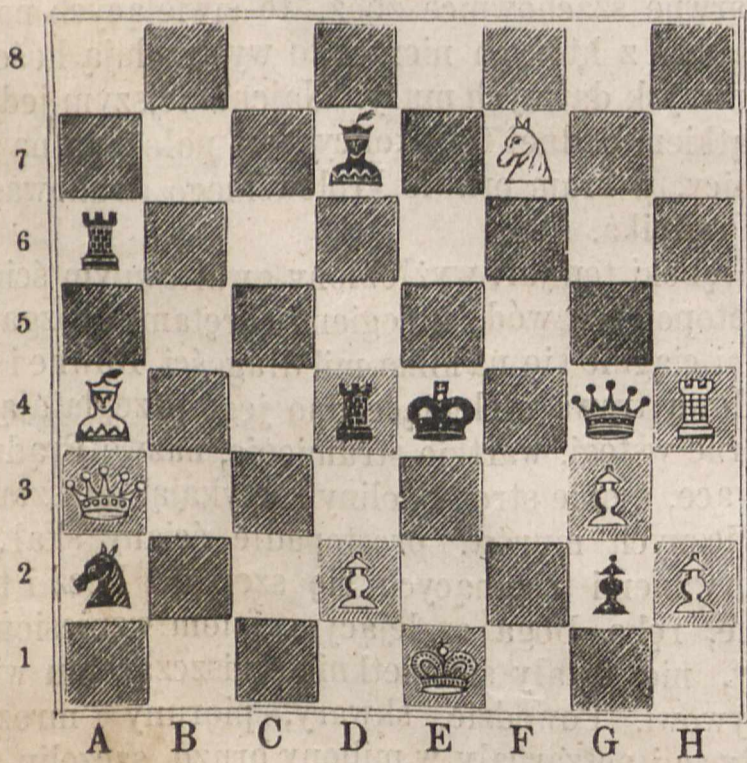
SZACHY.

ZADANIE XIII.

(B. A. Win. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

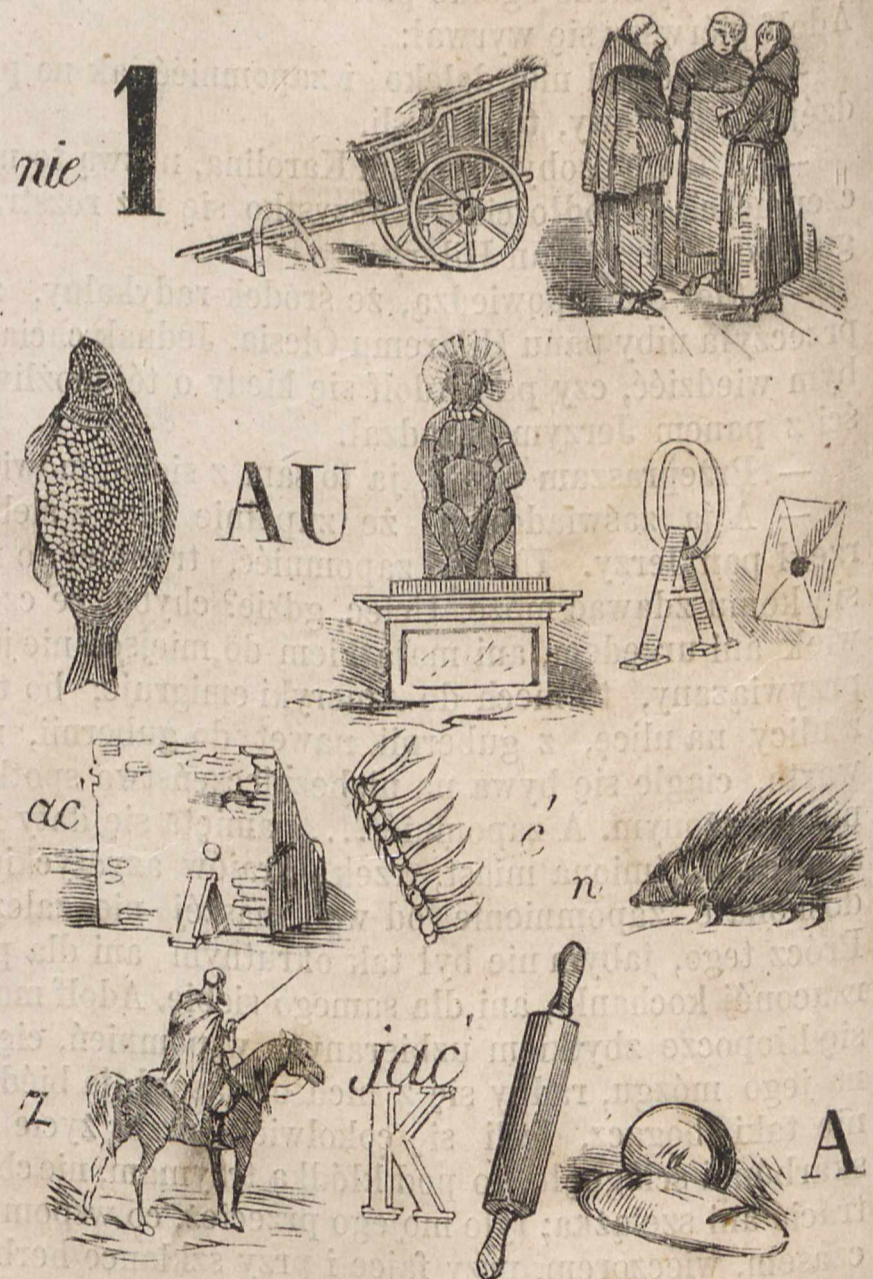
Rozwiązanie zadania szachowego Ner 12.

Białe.

Czarne.

- 1) C 3 — E 4 † . . . 1) D 6 — D 7
- 2) D 5 — E 6 bierze † . 2) D 7 — E 8
- 3) D 4 — D 8 † . . . 3) C 7 — D 8 bierze
- 4) E 4 — D 6 † i mat.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 17.
Encyklopedia nasza blaskiem okryje literaturę krajową.